

Świt ery postamerykańskiej

29 grudnia 2008

Czy imperium amerykańskie czeka wkrótce ten sam los, który stał się udziałem jego brytyjskiego poprzednika? Zmierzch Wall Street, symbolu finansowej dominacji Stanów Zjednoczonych, wzrost gospodarczego i finansowego znaczenia Chin, które potrafiły wykorzystać fakt międzynarodowego podziału pracy dla swojego autonomicznego rozwoju, rosnąca siła ruchów lewicowych w Ameryce Łacińskiej czy sukcesy indyjskiej dyplomacji świadczą, każde na swój sposób, o przewrocie w stosunkach międzynarodowych. W miejsce jednobiegunowego, zdominowanego przez Zachód świata kształtuje się nowy światowy porządek, w którym znaczącą rolę będą odgrywały o wiele liczniejsze podmioty. Przede wszystkim państwa.

Przejrzyjmy jeszcze raz prasę z lata 2008 r., zanim jeszcze rozszalał się huragan, który teraz pustoszy świat finansów: liczba chińskich internautów przekroczyła liczbę internautów amerykańskich, przy czym na Stany Zjednoczone przypada teraz zaledwie 25% internetowego handlu, podczas gdy dwa lata wcześniej była to jeszcze połowa; zawiodły próby wskrzeszenia negocjacji handlowych w ramach rundy Doha, przede wszystkim dlatego, że Indie i Chiny odmówiły złożenia swoich rolników, już teraz zubożałych, w ofierze na ołtarzu wolnego rynku; wkraczając do Gruzji, Rosja postanowiła bronić swoich interesów na Kaukazie, pomimo niezbyt zdecydowanych protestów Waszyngtonu.

Te doniesienia, a wraz z nimi wiele innych, świadczą o tym, że układ stosunków międzynarodowych ulega głębokiej przemianie; to koniec hegemonii Zachodu, która zapanowała na świecie w pierwszej połowie XIX w. Obecne osłabienie systemu finansowego może ten proces jedynie przyspieszyć. „Koniec arogancji”, głosił 30 września niemiecki tygodnik Der Spiegel, dodając podtytuł: „Ameryka traci dominujące znaczenie w światowej gospodarce”. Ironia, na którą stać jedynie samą historię –

dzieje się to niecałe 20 lat po rozpadzie „obozu socjalistycznego” pod wodzą Związku Radzieckiego, i po rzekomym tryumfie zasad ekonomii liberalnej.

KONIEC HEGEMONII ZACHODU

Zawsze niebezpiecznie jest prorokować. W 1983 r., dwa lata przed tym, jak Michaił Gorbaczow zamieszkał na Kremlu, Jean-François Ravel przepowiadał koniec demokracji, niezdolnych do walki z „najstraszliwszym ze swoich zewnętrznych wrogów, komunizmem, który jest aktualnym wariantem i spełnieniem idei totalitaryzmu” [1]. Kilka lat później Francis Fukuyama ogłaszał „koniec historii” – triumf amerykańsko-zachodnioeuropejskich ideałów... Po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej (1990-1991) wielu obserwatorów wieściło świat XXI w. pod znakiem wiodącej pozycji Stanów Zjednoczonych.

15 lat później krystalizuje się inny konsens, bliższy, jak się wydaje, rzeczywistości: na naszych oczach powstaje „świat poamerykański” [2]. Jak to ujęto w Białej Księdze obronności i bezpieczeństwa narodowego, przyjętej przez francuski rząd w czerwcu 2008 r., „świat zachodni, a więc zasadniczo Europa i Ameryka, nie jest już głównym źródłem inicjatywy gospodarczej i strategicznej w tym sensie, w jakim był nim jeszcze w 1994 r.” [3]

Czy świat stanie się wielobiegunowy? Nie ma wątpliwości, że Stany Zjednoczone jeszcze na długie lata zachowają uprzywilejowaną pozycję, i to nie tylko na planie militarnym. Będą jednak musiały liczyć się z pojawieniem się nowych, silnych ośrodków w Pekinie i New Delhi, w Brazylii i Moskwie. Ugrzęźnięcie negocjacji w ramach Światowej Organizacji Handlu (WTO), impas w sprawie irańskiego kryzysu nuklearnego, jak również burzliwe negocjacje z Koreą Północną potwierdzają, że Stany Zjednoczone, nawet sprzymierzone z Unią Europejską, nie są już w stanie narzucać innym krajom swojego punktu widzenia i będą odtąd musiały brać pod uwagę także punkt widzenia swoich partnerów.

Do tych nowych sił można by doliczyć cały szereg podmiotów, które w swoim opisie „świata niebiegunowego” [4] wymienia Richard Haass, niegdyś wysoki rangą urzędnik w administracji Busha (ojca), a następnie w Departamencie Stanu, obecnie przewodniczący Rady ds. Stosunków Zagranicznych (Nowy Jork). Wylicza on, nie dbając o kolejność, Międzynarodową Agencję Energetyczną (MAE), Szanghajską Organizację Współpracy [5], Światową Organizację Zdrowia (WHO) oraz organizacje regionalne; miasta takie jak Szanghaj czy Sao Paulo; media satelitarne, od Al-Dżaziry po Cable News Network (CNN); bojówki, od Hezbollahu po talibów; kartele narkotykowe, organizacje pozarządowe... I podsumowuje: „Dzisiejszy świat coraz bardziej podlega władzy rozproszonej, a coraz mniej – skoncentrowanej”.

Nawet jeśli to prawda, aparaty państwowe, które, według jego przepowiedni, miały słabnąć na skutek globalizacji, nie chcą usunąć się w cień. Chiny, Indie, Rosja i Brazylia nie kryją swoich ambicji i odrzucają dotychczasowy, marginalizujący je porządek międzynarodowy. Także i inne kraje, stawiające sobie skromniejsze cele, od Iranu, poprzez Izrael, kraje Ameryki Południowej i Indonezję, po Republikę Południowej Afryki, z determinacją bronią swoich „egoistycznych” interesów.

Żadnym z tych krajów nie kieruje jakaś globalna ideologia, jak to było w przypadku Związku Radzieckiego. Żaden nie proponuje alternatywnego modelu rozwoju gospodarczego. W mniejszym czy większym stopniu, wszystkie przyjęły gospodarkę rynkową. Ale żaden z nich nie zapomina o interesach swojego narodu. Po pierwsze, każdy z nich walczy o kontrolę nad coraz trudniej dostępnymi i coraz droższymi surowcami – przede wszystkim ropą naftową i gazem – by chronić swoją zdolność do wyżywienia ludności w sytuacji, gdy produkcja rolna jest niewystarczająca i w dodatku zagrożona zmianami klimatycznymi. Po drugie, bronią swoich interesów geopolitycznych ufundowanych na określonej wizji politycznej i trwającej wiele lat historii: Chiny w Tajwanie i Tybecie, Indie i Pakistan w Kaszmirze,

Serbia w Kosowie, Turcja w Kurdystanie. Globalizacja nie przyniesie rozwiązania tych konfliktów – przeciwnie, angażują one coraz większe masy ludności i nic nie wskazuje na to, by miały same z siebie wygasnąć.

Rzut oka na mapę świata wystarczy, by się przekonać, że ogromna większość tych konfliktów rozgrywa się wzdłuż „łuku kryzysowego”, który, według Białej Księgi, rozciąga się od Atlantyku po Ocean Indyjski. Autorzy Księgi ostrzegają przed „ryzykiem, zupełnie nowym, połączenia konfliktów, które zarysowuje się między Bliskim i Środkowym Wschodem a regionem Pakistanu i Afganistanu. Istnienie programów, w większości tajnych, wytwarzania broni nuklearnej, chemicznej i biologicznej zwiększa to niebezpieczeństwo w sytuacji, gdy kraje tego regionu jawnie bądź potajemnie nabywają wielkie ilości sprzętu wojskowego, przede wszystkim wyrzutni i pocisków rakietowych. Destabilizacja, jaką obserwujemy w Iraku, podzielonym na walczące ze sobą społeczności, może rozszerzyć się na cały Środkowy Wschód. Niestabilność w tym geograficznym łuku może mieć bezpośredni i pośredni wpływ na nasze interesy. Kraje europejskie z różnych tytułów prowadzą misje wojskowe w Czadzie, Palestynie, Libanie, Iraku i Afganistanie. Wydaje się, że w tych warunkach zadaniem Francji i całej Europy będzie jeszcze większe zaangażowanie w działania w całej tej strefie, by pomagać w zapobieganiu konfliktom i ich rozwiązywaniu” [6].

„ŁUK KRYZYSOWY” OD ATLANTYKU PO OCEAN INDYJSKI

Do podobnych wniosków doszła większość amerykańskich strategów. Jak pisze Nicholas Burns, wysoki urzędnik Departamentu Stanu: „Dziesięć lat temu Europa była epicentrum amerykańskiej polityki zagranicznej. (...) Teraz wszystko się zmieniło. (...) Dziś Bliski Wschód jest dla prezydenta [George’a W.] Busha, dla pani sekretarz stanu [Condoleezy] Rice, i będzie dla wszystkich ich następców tym, czym Europa była dla kolejnych administracji w XX w.” [7]. Fakt, że właśnie w tym regionie znajduje się większa część światowych rezerw ropy

naftowej, w czasie, gdy jej kurs pozostaje bardzo wysoki – pomimo niedawnego spadku – przyczynia się do wzrostu strategicznego znaczenia „Wielkiego Środkowego Wschodu”.

Tłumaczy to bezprecedensową od czasu zakończenia II wojny światowej koncentrację oddziałów zachodnich wojsk w tym regionie, od Iraku po Czad, od Libanu po Afganistan. Włączając wszystkie te misje w ramy swojej „wojny z terroryzmem”, Stany Zjednoczone spowodowały powstanie „międzynarodowego ruchu oporu”, bardzo złożonego, często podzielonego, który jednoczy w gruncie rzeczy tylko sprzeciw wobec amerykańskiej hegemonii.

Ten opór znajduje wyraz także w kluczowej dziedzinie, jaką jest gospodarka. W przeciwieństwie do poprzednich kryzysów (azjatyckiego, rosyjskiego, itd.), obecna finansowa burza skutkuje marginalizacją międzynarodowych organizacji w rodzaju Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Na początku nowego tysiąclecia wiele krajów – Rosja, Tajlandia, Argentyna, Brazylia, Serbia, Indonezja, itd. – postanowiło spłacić przed terminem swoje długi w stosunku do MFW [8], by uniezależnić się od wytycznych tych organizmów międzynarodowych.

Czy „konsens waszyngtoński” [9] zostanie zastąpiony „konsensem pekińskim”? Według jego wynalazcy, ekonomisty Joshuy Coopera Ramo, sprowadzałby się on do trzech teorematów [10], które określają w sposób, w jaki kraj Południa może znaleźć swoje miejsce na światowej szachownicy: nacisk położony na innowację; konieczność troski nie tylko o wzrost produktu krajowego brutto (PKB), lecz także o poprawę poziomu życia i taką równość obywateli, która nie groziłaby powszechnym chaosem; wreszcie świadomość wagi niezależności i autodeterminacji w podejmowaniu decyzji, i konsekwentne odmawianie innym (zwłaszcza zachodnim mocarstwom) możliwości narzucania własnego punktu widzenia.

GLOBALNE OCIEPLENIE A BEZPIECZEŃSTWO

Ta koncepcja jest przedmiotem zażartych sporów i krytyki [11] – np. jeśli chodzi o to, czy Chiny reprezentują „nowy model” rozwoju, skoro jednocześnie pogłębia się w nich nierówność społeczna, a globalizacja została przyjęta jako oczywistość? Pozwala on jednak zrozumieć, że, po raz pierwszy na taką skalę od czasów dekolonizacji, kraje Południa mają możliwość prowadzenia niezależnej polityki, znajdując partnerów – inne państwa, ale i przedsiębiorstwa – którzy nie podzielają punktu widzenia Waszyngtonu. Powstaje sieć nowych stosunków, o czym świadczy forum chińsko-afrykańskie czy spotkanie ministrów spraw zagranicznych krajów BRIC (Brazylia, Rosji, Indii oraz Chin), które miało miejsce w Nowym Jorku 26 września tego roku. Kraje Południa mogą uzgadniać między sobą plany rozwoju, nie oglądając się na „konsens waszyngtoński”.

Radykalnej transformacji ulega też geopolityczna architektura świata. 17 kwietnia 2007 r. Rada Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych po raz pierwszy poświęciła swoje posiedzenie politycznym implikacjom ocieplenia klimatu. Ten wymiar uwzględnia teraz refleksja strategiczna, czy to w Stanach Zjednoczonych, czy we Francji albo Australii [12]. By nie wchodzić w szczegóły – skrajne warunki będą miały negatywny wpływ na zbiory, zwłaszcza w rolnictwie tradycyjnym, i będą sprzyjać rozwojowi epidemii; z kolei podniesienie się poziomu wód postawi świat wobec problemu milionów uchodźców ekologicznych – mówi się o nawet 150 milionach w 2050 r. – co oznacza wznowienie walk o podział terytoriów oraz pociągnięcie za sobą zniknięcie niektórych wysp i całych atoli, a więc zmniejszenie obszaru specjalnych stref ekonomicznych (ZEE) [13]. Gwałtowny wzrost cen produktów spożywczych już teraz destabilizuje sytuację w wielu krajach.

Wielobiegunowość i dopuszczenie możliwości rozmaitych dróg rozwoju poszczególnych krajów sprzeciwia się nie tylko ekonomicznej dominacji Zachodu, lecz także równa się odmówieniu mu prawa do wskazywania Dobra i Zła, do określania prawa międzynarodowego, do ingerowania w sprawę świata w imię

moralności czy humanitaryzmu. Były minister spraw zagranicznych Francji Hubert Védrine tłumaczy, że Zachód stracił „monopol na historię”, monopol na „wielką narrację”. Dzieje świata, wynalazek sprzed 200 lat, były dziejami wybijania się Europy i jej panowania nad światem. W tej perspektywie obecne ciążenie ku wielobiegunowości można postrzegać jako szansę na dążenie w kierunku prawdziwego uniwersalizmu. Ale na Zachodzie budzi to też nieraz odruch lęku: świat będzie miejscem coraz mniej bezpiecznym, „nasze wartości” będą atakowane ze wszystkich stron, przez Chiny, Rosję, islam; powinniśmy, pod przewodnictwem Paktu Północnoatlantyckiego (NATO), zorganizować nową krucjatę przeciwko barbarzyńcom, którzy „chcą nas zniszczyć”. Ta wizja, jeśli ją przyjmiemy, niewątpliwie zadziałała jak samospełniająca się przepowiednia.

Autor: Alain Gresh

Tłumaczenie: Agata Łukomska

Źródło: [„Le Monde diplomatique” nr 12 \(34\) 2008](#)

PRZYPISY

[1] Comment les démocraties finissent, Grasset, Paryż 1983.

[2] Por. Fareed Zakaria, The Post-American World, W. W. Norton, Nowy Jork, 2008, zob. także krytyczną recenzję tej książki autorstwa Huberta Védrine’a (Le Monde diplomatique, sierpień 2008).

[3] Défense et sécurité sociale. Le Livre blanc, Odile Jacob – La Documentation française, Paryż 2008, str. 34.

[4] „The age of nonpolarity: What will follow US dominance”, Foreign affairs, Nowy Jork, maj-czerwiec 2008.

[5] Stworzona w 2001 roku Szanghajska Organizacja Współpracy skupia Chiny, Rosję, Kazachstan, Kirgistan, Tadżykistan i Uzbekistan. Z czasem dołączyły do niej cztery państwa-obszary: Indie, Pakistan, Iran i Mongolia.

[6] Défense... , op. cit., str. 44.

[7] <http://bostonreview.net/BR32.3/burns.html>

[8] Por. Jacques Sapis, *Le Nouveau XXI^e siècle. Du siècle „américain” au retour des nations*, Seuil, Paryż 2008, zwłaszcza str. 164-170.

[9] Wyrażenie „waszyngtoński konsensus” stworzył w 1989 r. ekonomista John Williamson. Oznacza ono zarazem liberalizację narzuconą przez instytucje międzynarodowe (w tym MFW) państwom będącym w trudnej sytuacji gospodarczej oraz – w teorii – większe wysiłki tych ostatnich, jeśli chodzi o przestrzeganie „ludzkich praw”.

[10] Por. *The Beijing Consensus*, The Foreign Policy Center, Londyn 2004.

[11] Por. np. Arif Dirlik, „Beijing consensus: Beijing Gonshi. Who recognizes whom and to what end?”

[12] Alan Dupond, „The strategic implications of climate change”, *Survival*, The International Institute for Strategic Studies, Londyn, czerwiec-lipiec 2008.

[13] ZEE została zdefiniowana w konwencji ONZ o prawie morza (1982 r.). Daje ona państwu pewną liczbę uprawnień w obszarze dwustu mil morskich (370 kilometrów) od jego wybrzeży.